

JACK REACHER

**NOWOŚĆ
2023**

LEE CHILD

ANDREW CHILD

BEZ PLANU B



ALBATROS

Tytuł oryginału:
NO PLAN B

Copyright © Lee Child and Andrew Child 2022
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2023

Polish translation copyright © Łukasz Praski 2023

Redakcja: Joanna Kumaszevska

Projekt graficzny okładki oryginalnej: Stephen Mulcahey

Zdjęcia na okładce © Stephen Mulcahey (*postać*);
© Agencja BE&W (*wieżenie*)

Opracowanie graficzne okładki polskiej: Plus 2 Witold Kuśmierczyk

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros|Instagram.com/wydawnictwoalbatros



JACK REACHER

Imię i nazwisko: Jack Reacher

Narodowość: amerykańska

Urodzony: 29 października 1960 roku w Berlinie

Charakterystyczne dane: 195 cm, 99–110 kg, 127 cm w klatce piersiowej

Kolor włosów: ciemny blond

Kolor oczu: niebieski

Ubranie: kurtka 3XLT, długość nogawki mierzona od kroku 95 cm

Wykształcenie: szkoły na terenie amerykańskich baz wojskowych w Europie i na Dalekim Wschodzie, Akademia Wojskowa West Point

Przebieg służby: 13 lat w Żandarmerii Armii USA, w 1990 roku zdegradowany ze stopnia majora do kapitana, zwolniony do cywila w randze majora w roku 1997

Odznaczenia służbowe: Srebrna Gwiazda, Medal za Wzorową Służbę, Medal Żołnierza, Legia Zastugi, Brązowa Gwiazda, Purpurowe Serce

Ostatni adres: nieznany

Czego nie ma: prawa jazdy, dokumentu ze zdjęciem, osób na utrzymaniu

1

Spotkanie odbywało się w sali bez okien.

Miała kształt prostokąta, a powodem braku okien był brak zewnętrznych ścian. Pomieszczenie znajdowało się wewnątrz większego, kwadratowego. A to kwadratowe mieściło się w jeszcze większym pomieszczeniu o kształcie ośmiokąta. Ta złożona struktura sal tworzyła centrum kierowania oddziału S2 w zakładzie karnym prowadzonym przez firmę Usługi Penitencjarne Minerva w Winson w stanie Missisipi. Wraz z siostrzanym oddziałem izolacyjnym, S1, centrum było najlepiej zabezpieczonym miejscem w całym kompleksie. Układ ścian przypominał średniowieczny zamek z koncentrycznie ułożonymi kręgami. Centrum kierowania zaprojektowano tak, by było nie do zdobycia. Z zewnątrz, nawet w przypadku ataku skrajnie zdeterminowanych wybawców. A także od środka, nawet podczas najbardziej gwałtownego buntu więźniów.

Kwestia bezpieczeństwa nie była bez znaczenia, ale centrum wybrano przede wszystkim ze względu na odizolowanie od reszty kompleksu, by zachować spotkanie w całkowitej tajemnicy. Dlatego że reszta oddziału S2 była pusta. Ani strażników. Ani personelu administracyjnego. Dzięki metodom zarządzania więzieniem przez obecne

kierownictwo nie byli potrzebni. I żadna ze stu dwudziestu izolatek nie była zajęta. Progresywne podejście stanowiło powód do wielkiej dumy. I wielki atut dla PR-u.

Święciu mężczyzn obecnych w sali uczestniczyło w potajemnym spotkaniu, trzecim w ciągu tego tygodnia. Siedzieli przy długim, wąskim stole, a pod białą ścianą bez żadnych ozdób stały dwa zapasowe krzesła. Meble zrobiono z jasnoniebieskiego poliwęglanu. Każdy został odlany w jednej formie, więc nie miały złączy i spoin. Kształt i materiał utrudniały ich zniszczenie. Kolor utrudniałby ukrycie w nich jakichś przedmiotów. Meble były praktyczne. Ale niezbyt wygodne. Zostały po poprzedniej administracji.

Półowa mężczyzn w pomieszczeniu była w garniturach: Bruno Hix, dyrektor generalny i współzałożyciel Minervy, który zajmował miejsce u szczytu stołu; Damon Brockman, dyrektor operacyjny i drugi współzałożyciel firmy, siedzący po prawej ręce Hixa; i Curtis Riverdale, naczelnik więzienia, obok Brockmana. Mężczyzna obok Riverdale'a, ostatni z siedzących po tej stronie stołu, był w mundurze. Nazywał się Rod Moseley i pełnił funkcję komendanta policji w Winson. Naprzeciw nich, po lewej stronie Hixa, siedzieli dwaj faceci pod trzydziestkę. Obaj w czarnych T-shirtach i dżinsach. Jeden miał złamany nos, podbite oczy i całe czoło we wściekle fioletowych siniakach. Drugi nosił lewą rękę na temblaku. Obaj starali się unikać wzroku czterech pozostałych mężczyzn.

– Czyli jest problem czy go nie ma? – Brockman wzruszył ramionami. – Czy ktoś może stwierdzić z całą pewnością, że jest? Nie. Dlatego powinniśmy działać zgodnie z planem. Zbyt wiele możemy stracić, żeby się bać własnego cienia.

– Nie. – Riverdale pokręcił głową. – Ja widzę to tak: jeżeli nie można wykluczyć problemu, to znaczy, że jest problem. Bezpieczeństwo na pierwszym miejscu. Powinniśmy...

– Powinniśmy się upewnić – przerwał mu Moseley. – I podjąć decyzję na podstawie faktów. Najważniejsza rzecz to ustalić, czy facet zaglądał do koperty. Musimy to wiedzieć.

Nikt się nie odezwał.

– No? – Moseley wyprostował nogę pod stołem i kopnął tego z temblakiem. – Pobudka. Odpowiedz na pytanie.

– Dajcie mi spokój. – Facet z temblakiem stłumił ziewnięcie. – Musieliśmy jechać całą noc, żeby się dostać do Kolorado. A potem znowu całą noc jechaliśmy tutaj.

– Tylko nam się tu nad sobą nie użalaj. – Moseley znowu trącił go stopą. – Po prostu nam powiedz. Zaglądał?

Ten z temblakiem wbił wzrok w ścianę.

– Nie wiemy – rzucił.

– Zagłądanie do koperty jeszcze o niczym nie przesądza – zauważył Riverdale. – Jeżeli zajrzał, musimy wiedzieć, czy zrozumiał, co zobaczył. I co zamierza z tym zrobić.

– Nie ma znaczenia, czy zaglądał – powiedział Brockman. – Gdyby nawet, to co z tego? Nie znajdzie tam zupełnie nic, co naprowadziłoby go na trop.

Riverdale pokręcił głową.

– Wymienia się tam dziesiątą rano w piątek. Bardzo wyraźnie. Jest godzina, data i miejsce.

– I co z tego? – Brockman uniósł ręce. – Piątek to okazja do świętowania i radości. Nie ma w tym absolutnie nic podejrzanego.

– Ale w środku była fotografia. – Riverdale akcentował każdą sylabę ruchem palca w powietrzu. – Osiem na dziesięć. Nie da się jej nie zauważyć.

– To też jeszcze nic nie oznacza. – Brockman odchylił się na oparcie krzesła. – Przynajmniej dopóki facet tu nie przyjedzie. Jeżeli w ogóle pojawi się w piątek. Ale nawet wtedy nic nam nie grozi. Wybraliśmy bardzo starannie.

– Wcale nie. Przecież to niemożliwe. Mogliśmy wybierać

tylko z dziewięciu.

Przez twarz Moseleya przemknął uśmiech.

– Paradoks, nie? Że wybraliśmy naprawdę niewinnego człowieka.

– Nie nazwałbym tego paradoksem. – Riverdale zmarszczył czoło. – I wcale nie mieliśmy dziewiątki. Była tylko piątka. Reszta miała rodziny. To było kryterium wykluczające.

– Dziewiątka? – powtórzył Brockman. – Piątka? Co za różnica? Cyfra nie ma znaczenia. Liczy się tylko wynik. A wynik jest całkiem dobry. Nawet jeśli ten facet się pojawi, to jak blisko może podejść? Będzie w odległości co najmniej dwudziestu pięciu metrów.

– Nie musi się wcale pojawiać. Może zobaczyć to w telewizji. W internecie. Przeczytać o tym w gazetach.

– Naczelnik ma rację – wtrącił się Moseley. – Byłoby chyba lepiej tym razem nie budzić aż takiego zainteresowania. I cofnąć zgodę na obecność mediów. Można wstawić jakiś kit o poszanowaniu prawa osadzonych do prywatności albo coś w tym rodzaju.

– Nie ma potrzeby. – Brockman pokręcił głową. – Przypuszczacie, że ten facet ma telewizor? Komputer? Prenumeruje „New York Timesa”? Przecież to nędzarz, na litość boską. Przestańcie szukać kłopotów, bo ich nie ma.

Hix zabębnił palcami o blat.

– Obecność w mediach jest dobra dla marki. Nigdy niczego nie zatajamy. Od zawsze. Jeżeli teraz to zmienimy, wzbudzimy tylko większe zainteresowanie. Ludzie pomyślą, że coś jest nie tak. Wydaje mi się jednak, że musimy wiedzieć, czy zajrzał do środka. – Hix odwrócił się do mężczyzn w T-shirtach. – Gdybyście mieli zgadywać... Nie ma złych odpowiedzi. Stało się, co się stało. Rozumiemy. Powiedzcie nam tylko, co wydaje się wam najbardziej prawdopodobne.

Ten ze złamanym nosem nabrał haust powietrza przez usta.

- Chyba zajrzał.
- Chyba? – powtórzył Hix. – Czyli nie jesteś pewien.
- Nie na sto procent.
- Okej. Gdzie była koperta?
- W torebce.
- A torebka?
- Na ziemi.
- Ty ją tam postawiłeś?
- Chciałem mieć wolne ręce.
- Gdzie była, kiedy przyjechał samochód? – spytał Hix.
- Na ziemi – odpowiedział ten z temblakiem.
- W tym samym miejscu?
- Skąd mamy wiedzieć? Nie było mnie tam, kiedy Robert ją postawił. A gdy ją wziąłem, Robert był nieprzytomny.

Hix milczał przez chwilę.

- No dobrze – rzucił w końcu. – Jak długo ten facet był sam z torebką?
- Nie wiemy. Chyba niedługo. Najwyżej parę minut.
- Czyli nie można wykluczyć, że zaglądał – zauważył Hix.
- W każdym razie miał czas, żeby przynajmniej zerknąć.
- Zgadza się – przyznał ten ze złamanym nosem. – No i trzeba pamiętać, że torebka była rozerwana. Jak to się stało? I dlaczego? Myśmy tego nie zrobili.

Brockman pochylił się nad stołem.

– Z tego, co mówiliście, było straszne zamieszanie. Wszędzie szczątki. Totalny chaos. Torebka pewnie została rozdarta przypadkiem. Nie wydaje mi się, żeby to był istotny trop. Dwaj pozostali nie informowali nas, że zaglądał do koperty.

– W ogóle się nie odezwali – oznajmił ten z temblakiem. – Nie wiemy, gdzie są.

- Pewnie jeszcze w drodze – powiedział Brockman.
- Prawdopodobnie mają kłopoty z telefonem. Ale gdyby

było się czym martwić, znaleźliby sposób, żeby się z nami skontaktować.

– A facet ani słowem nie wspomniał o tym policji – dodał Moseley. – Kilka razy rozmawiałem z porucznikiem. To musi coś oznaczać.

– Mimo to wydaje mi się, że zaglądał – upierał się ten ze złamanym nosem.

– Powinniśmy to wstrzymać – wyraził swoje zdanie Riverdale.

– W życiu nie słyszałem głupszej propozycji – odparł Brockman. – To nie my ustaliliśmy datę, nie my wybraliśmy godzinę. Zrobił to sędzia, kiedy podpisał nakaz zwolnienia. Przecież wiecie. Jeżeli zaczniemy kretyńsko grać na zwłokę, zaraz będziemy mieli na karku stado inspektorów. Wiecie, czym to się dla nas skończy. Równie dobrze możemy tu i teraz strzelić sobie w łeb.

Riverdale spojrzał na niego spod zmarszczonych brwi.

– Nie chodzi mi o zwłokę. Mówię o tym, żebyśmy wrócili do pierwotnego planu. Ta zamiana od początku była błędem.

– Rozwiązałby się problem piątku. Jeżeli w ogóle jest z tym jakiś problem. Nadal jednak pozostałby problem Carpentera.

– Od początku uważałem, że rozwiązanie jest proste. Kulka w tył głowy. Sam to zrobię, jeżeli jesteście zbyt wrażliwi.

– Wiesz, jaka byłaby cena? Ile straciłby na tym biznes?

– Jeżeli ten facet skojarzy fakty, stracimy znacznie więcej niż pieniądze.

– Jak mógłby to powiązać?

– Przyjeżdżając tu. Sam to powiedziałeś. Mógłby powęszyć. Był żandarmem wojskowym. Ma to we krwi.

– Skończył służbę w żandarmerii lata temu – zauważył Moseley. – Tak mi mówił porucznik.

Hix zabębnił w blat.

– Co jeszcze wiemy?

– Niewiele. Nie ma prawa jazdy. Według urzędu skarbowego nie ma historii zatrudnienia. W każdym razie odkąd odszedł do cywila. Nieobecny w serwisach społecznościowych. Nie istnieją żadne ostatnie zdjęcia. Jest teraz włóczęgą. Smutne, ale do tego się to sprowadza. Chyba nie ma się czym przejmować.

– Włóczęga czy milioner, wszystko jedno – rzucił Brockman. – Ale chyba tylko wariat jechałby przez pół kraju dlatego, że przeczytał parę dokumentów i zobaczył jakieś niewinne zdjęcie?

– Możecie sobie teoretyzować, ale mnie to martwi – oświadczył Riverdale. – Na każdym spotkaniu uznawaliśmy, że problem jest opanowany. I za każdym razem nie mieliśmy racji. A jeżeli tym razem znowu się mylimy?

– Nie myliliśmy się. – Brockman trzasnął otwartą dłonią w stół. – Radziliśmy sobie z każdą trudną sytuacją, gdy tylko zaistniała. W dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach przypadków.

– W dziewięćdziesięciu dziewięciu. Nie stu.

– Życie nie jest idealne. Czasem trzeba pozamiatać rozbite szkło. I zrobiliśmy to. Dowiedzieliśmy się o przecieku. Zlikwidowaliśmy go metodą, którą uzgodniliśmy. Dowiedzieliśmy się o zaginionej kopercie. Odzyskaliśmy ją metodą, którą uzgodniliśmy.

– A teraz ten dziwny facet do niej zajrzał.

– Być może. Tego nie wiemy. Ale musicie przyznać, że to mało prawdopodobne. Nie powiedział o niej glinom. To wiemy. Nie pisał też słowa FBI ani Departamentowi Więziennictwa. Wiedzielibyśmy. Powiedzmy, że domyślił się wszystkiego po tym, jak na parę sekund został sam na sam z kopertą. Dlaczego miałby zachować tę wiedzę dla siebie? Co by z nią zrobił? Szantażował nas? Sądzicie, że będzie się tłuc dwa tysiące kilometrów, żeby zdążyć na piątek? Bądźmy

poważni.

– Panowie! – Hix znowu zabębnił w blat. – Wystarczy. No dobrze. Oto moja decyzja. Nie wiadomo, czy facet zaglądał do koperty. Wydaje się to mało prawdopodobne, więc nie powinniśmy wpadać w panikę. Zwłaszcza jeżeli pomyślimy o konsekwencjach. Z drugiej strony, warto zachować ostrożność. Łatwo go rozpoznać, tak?

Ten ze złamanym nosem skinał głową.

– Na pewno. Trudno go nie zauważyć. Sto dziewięćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu. Sto dziesięć kilo. Niechlujny.

– No i nie zapominajmy, że jest mocno poobijany – dorzucił ten z ręką na temblaku. – Już o to zadbałem.

– Powinieneś go zabić – wytknął mu Brockman.

– Myślałem, że to zrobiłem.

– Powinieneś się upewnić.

– Jak? „To ma wyglądać na wypadek”. Takie polecenie wydaliśmy tamtym dwóm. Wydawało mi się, że zastosowali je do tego faceta. Trudno byłoby sprzedać taką wersję, gdybym wpakował mu kulkę w łeb.

– Dość! – Hix zaczekał, aż zapadnie cisza. – Plan jest taki. Zorganizujemy obserwację. Całodobową. Od teraz aż do soboty. Jeżeli postawi stopę w naszym mieście, będziemy na niego czekać. A tu już nie musimy się przejmować, jak co będzie wyglądać.

2

Jack Reacher przyjechał do Gerrardsville w stanie Kolorado w poniedziałek przed południem, dwa dni przed trzecim tajnym spotkaniem ludzi z Minervy. Dotarł na miejsce autostopem, ciężarówką, która wiozła bele lucerny na farmę na południe od miasta, więc ostatni półtorakilometrowy odcinek drogi pokonał pieszo. Spacer sprawił mu przyjemność. Było ciepło, ale nie gorąco. Rozległym błękitnym niebem płynęły strzępki chmur. Powietrze było rzadkie i przejrzyste. Jak okiem sięgnąć, wszędzie płaski, zielony i żyzny krajobraz. Na niekończących się połaciach pól widać było z oddali deszczownie, między którymi do słońca wyciągały się łodygi i liście w przeróżnych kolorach i kształtach. Po lewej horyzont zamykał łańcuch gór. Wyrastały z ziemi nagle, niezapowiedziane żadnym wzniesieniem terenu ani łagodnym pogórzem, a ich zaśnieżone szczyty wrzynały się w niebo jak zęby piły.

Reacher szedł, dopóki nie dotarł do głównej drogi miasteczka. Ciągnęła się przez prawie kilometr i po jej obu stronach biegły nieprzerwane szeregi sklepów i biur, a dalej domy mieszkalne. Budynki handlowe były jednakowej wielkości. Podobnie zaprojektowane, wszystkie miały po dwie kondygnacje i były w podobnym wieku – według dat

wyrzeźbionych w niektórych nadprożach drzwi pochodziły z końca dziewiętnastego wieku – więc miasteczko sprawiało wrażenie czegoś w rodzaju kapsuły czasu. Z epoki, gdy jeszcze ceniło się kunszt rzemieślniczy. Nie było wątpliwości. Fasady wykonano z kamienia, marmuru albo granitu. Stolarkę drzwiową i okienną zdobiły misternie rzeźbione motywy, bogato udekorowane płatkami złota. Budynki były doskonale utrzymane ze wszystkich stron. Reacher potrafił docenić to, co widział, ale nie przyjechał do tego miasta, by podziwiać architekturę. Przyjechał zwiedzić tutejsze muzeum.

Poprzedniego dnia w gazecie zostawionej przez kogoś w restauracji znalazł artykuł o wykrywaczu metali i pewnym dentyście, który odchodził na emeryturę i z tej okazji dostał ten gadżet w prezencie od kolegów. To miał być żart związany z historiami, które opowiadali o nim inni stomatolodzy: u nowych pacjentów znajdował plomby założone przez innych dentystów i upierał się, że należy je wymienić. W każdym razie, szukając sposobu wypełnienia wolnego czasu, którego nagle miał aż nadto, bohater artykułu został archeologiem amatorem. Od dawna żywo interesował się wojną secesyjną, więc postanowił odwiedzić całą serię miejsc bitew. Dużych i małych. Słynnych i mało znanych. Pod Pea Ridge w stanie Arkansas znalazł masę odłamków artyleryjskich i innych artefaktów. Z jego znalezisk stworzono objazdową wystawę na temat ewolucji taktyki wojsk Unii i wzbudziło to zainteresowanie Reachera. Jednym z miejsc, w których pokazywano ekspozycję, było Gerrardsville. A że akurat znalazł się kilka kilometrów od miasteczka i wystawa wciąż tu była, postanowił ją obejrzeć.

Wypił kawę w kawiarence, którą mijał po drodze, i dotarł do muzeum przed południem. Został tam aż do zamknięcia. Dopóki nie wygoniła go jedna z kustoszek. Miała na imię Alexandra. Reacher zagadnął ją na temat wystawy. Potem

rozmowa zeszła na restaurację w miasteczku i skończyło się na tym, że poszli razem na hamburgera. Alexandra wybrała obscurną knajpkę. Przy stołach z chropowatymi drewnianymi blatami stały długie ławy. Podłogi skrzypiały. Wszystkie ściany były udekorowane okładkami starych płyt. Ale na jedzenie nie trzeba było długo czekać. Porcje były kopyaste. Ceny niskie. Wszystko to bardzo przypadło Reacherowi do gustu.

Podczas jedzenia zaczęli rozmawiać o muzyce i skończyło się na tym, że trafili do baru. Niewielkiego. Kameralnego. Ciemnego. Grał zespół bluesowy. Przede wszystkim covery Magic Slima plus parę piosenek Howlin' Wolfa. Reacher był zadowolony. Alexandra zamówiła dwa piwa i kiedy je pili, znowu zmienił się temat rozmowy. Tym razem zaprowadził ich w zupełnie inną stronę. A potem aż do Alexandry.

Miała mieszkanie nad sklepem niedaleko głównego skrzyżowania w miasteczku. Niewielkie. Urządzone w minimalistycznym stylu. Niewiele mebli i innych sprzętów. Ale była lodówka, więc wypili jeszcze po piwie. I odtwarzacz CD, więc posłuchali jeszcze muzyki. No i była w nim sypialnia. A gdy do niej trafili, właściwie nie potrzebowali już niczego więcej.

3

Muzeum otwierano na drugi dzień o dziesiątej rano, więc Reacher i Alexandra zostali w łóżku do ostatniej chwili.

Zostali w łóżku, ale nie poświęcili tego czasu wyłącznie na sen. Alexandra wiedziała, że może nie zdążyć, mimo to wzięła krótki prysznic. Uznała, że po wzmożonej aktywności, jakiej się oddawali, tak będzie rozsądniej. Reacher zaparzył kawę. Potem pocałowała go na pożegnanie i popędziła do swojego wybranego kawałka przeszłości. Reacher wziął dłuższy prysznic, po czym wyszedł na ulicę. Myślał o swojej najbliższej przyszłości. Na moment przystanął, by przyjrzeć się górom. Potem zobaczył idącą w ich stronę kobietę. Była po drugiej stronie ulicy, prawie na skrzyżowaniu, i kierowała się na zachód. Na przejściu paliło się czerwone światło. Na przeciwległym rogu stał mężczyzna czekający na zielone. Na północ zmierzał autobus, który miał przejechać między nimi.

• • •

Kobieta za kierownicą autobusu dostrzegła tylko ruch.

Nic więcej prócz niewyraźnej plamy. Nisko, po swojej prawej stronie. Jakiś kulisty przedmiot. Zakreślił ćwierć równiutkiego okręgu. Jak zawieszony na sznurku melon, powiedziała następnego dnia psychologowi, z którym

rozmowa była obowiązkowa. Tyle że to nie był melon, ale głowa. Ludzka głowa. Kobiety. Zaledwie parę centymetrów od przedniej szyby. Jasna i biała w blasku słońca, jakby już należała do ducha. A potem zniknęła. Ale nie dlatego, że kobieta za kierownicą to sobie wyobraziła. Nie dlatego, że to było złudzenie, choć bardzo tego pragnęła. Lecz dlatego, że głowa dalej zakreślała łuk. Do samej ziemi. Przed autobus.

A potem pod jego koła.

Skręciła ostro w lewo. Całym ciężarem ciała wcisnęła hamulec. Bez wahania. Bez paniki. Zadziałało dobre wykształcenie. Miała wieloletnie doświadczenie. Było jednak za późno. Usłyszała pisk opon. Wrzask pasażerów. I poczuła uderzenie. Na kierownicy. Wy tłumione lekkie drgnienie obręczy z twardego plastiku. Łagodniejsze od wstrząsu przy najechaniu koła na głęboki wybój. Albo przy uderzeniu w kłodę drewna. Ale asfalt nie ma przecież kości, które można zmiażdżyć i roztrzaskać. Drewno nie ma organów wewnętrznych, które pękają i krwawią.

Kobieta za kierownicą autobusu zamknęła oczy i siłą woli opanowała falę mdłości. Wiedziała, jaki widok czeka ją na ulicy. Już kiedyś mimo woli stała się współniczką samobójstwa nieznajomej osoby. To było ryzyko wpisane w jej zawód.

• • •

Człowiek stojący na przeciwległym rogu skrzyżowania widział znacznie więcej.

Widział jadący na północ autobus. Widział, jak kobieta pojawiła się na południowo-wschodnim rogu skrzyżowania. Nic nie przesłaniało mu widoku. Stał na tyle blisko, że jego relację można było uznać za wiarygodną. Zeznał, że ofiara wyglądała na zdenerwowaną. Rozedrganą. Widział, jak patrzy na zegarek. Z początku przypuszczał, że kobieta się spieszy.

Przypuszczał, że chce zdążyć przebiec przez ulicę, zanim nadjedzie autobus. Ale nie przebiegła. Zatrzymała się. Stała i niecierpliwie przestępowała z nogi na nogę, dopóki autobus nie znalazł się prawie tuż przy niej. Gdy nie miał już szansy zwolnić ani skręcić.

Wtedy rzuciła się pod koła.

Kobieta rzuciła się pod autobus. Świadek był tego pewien. Nie potknęła się. Nie upadła. To był zamierzony krok. Wskazywał na to wybrany moment. Prędkość, z jaką ruszyła przed siebie. Łuk zakreślony przez jej ciało. Precyzyjnie wybrany cel. To z pewnością nie mógł być wypadek. Ona zrobiła to celowo. Świadek sądził, że nie ma innego wyjaśnienia.

• • •

Tylko Reacher widział całą scenę.

Stał około piętnastu metrów od skrzyżowania. Jemu też nic nie zasłaniało widoku, ale miał szersze pole widzenia. Znaleźli się w nim kobieta i facet czekający na zielone światło, by przejść na drugą stronę. Reacher zauważył też trzecią osobę. Mężczyznę. Jakieś sto osiemdziesiąt centymetrów. Muskularny. W szarej bluzie z kapturem i džinsach. Po tej samej stronie ulicy co kobieta. Dwa i pół metra od niej. Čwierć metra od krawężnika. Stał zupełnie nieruchomo.

Bardzo starannie wybrał miejsce. To było jasne. Znajdował się w pobliżu przejścia dla pieszych, więc nie budził takiego zainteresowania jak ktoś wałęsający się bez celu po ulicy. Był na tyle daleko od kobiety, by nie nasunęło się podejrzenie, że cokolwiek go z nią łączy. Ale na tyle blisko, że gdy nadjechał autobus, wystarczyły mu dwa kroki, by znalazł się tuż obok niej. Wykonał ten ruch zręcznie. Płynnie. Bardziej przypominał cień niż człowieka z krwi i kości. Ofiara nie zauważyła, kiedy znalazł się obok niej. Nie zauważyła, jak

jego stopa niepostrzeżenie zakleszczyła jej kostki.

Położył dłoń między łopatkami kobiety i pchnął ją. To był nieznaczny ruch. Ekonomiczny. Zupełnie pozbawiony dramatyzmu. Nie na tyle widoczny, by zwróciła na niego uwagę większość obserwatorów. Ale wystarczający do osiągnięcia celu. Bezsprzecznie. Nie było ryzyka, że kobieta zatoczy się do przodu i odbije od maski autobusu. Nie było ryzyka, że upadek skończy się dla niej złamaniem kości i wstrząśnieniem mózgu. Sprawę rozwiązała jego stopa, która unieruchomiła kobietę. Zablokował jej nogi, więc obróciła się wokół własnej osi, wymachując rękami. W rezultacie musiała runąć poziomo na ziemię.

Uderzenie wycisnęło powietrze z jej płuc. To był jej ostatni oddech. Bo pół sekundy później przednie koło autobusu rozpląszczyło jej brzuch jak złożoną gazetę.

4

Autobus zatrzymał się ukosem do krawężnika, jakby został skradziony przez pijanego dowcipnisia, a potem porzucony, gdy kawał przestał go bawić. Przód pojazdu częściowo blokował skrzyżowanie. Reacher zobaczył, że numer trasy wyświetlany na elektronicznej tablicy nad drzwiami wejściowymi zastąpił komunikat alarmowy WEZWAĆ POLICJĘ. Zobaczył też nogi martwej kobiety. Wystawały spod autobusu, mniej więcej w połowie odległości między przednimi a tylnymi kołami. Z jednej stopy spadł sportowy but. Mężczyzna, który ją popchnął, z tylnej kieszeni dżinsów wyjął worek na śmieci. Potrząsnął nim, by go otworzyć. Kucnął obok gołej stopy. Sięgnął wyprostowaną ręką pod autobus. Złapał coś i wyciągnął. Reacher zorientował się, że to torebka kobiety. Tamten wrzucił ją do worka na śmieci. Wyprostował się. Poprawił kaptur. I odszedł wolnym krokiem, kierując się na południe, a po chwili zniknął.

Reacher przeciął na skos ulicę, biegnąc w stronę autobusu. Na chodniku gromadzili się już ciekawscy. Wychodzili ze sklepów, kafejek i biur i gapili się na zwłoki. Jakiś mężczyzna w garniturze zatrzymał samochód i wysiadł, żeby się lepiej przyjrzeć. Nikt jednak nie zwracał uwagi na faceta w bluzie z kapturem, który wtapiał się w tłum, żeby rozpuścić się na

jego obrzeżach. Reacher przebijał się przez ciżbę, odpychając na bok ludzi; kogoś uderzył w tyłek. Ten w kapturze przedarł się przez ostatni rząd gapiów. Przyspieszył kroku. Reacher przeciskał się coraz mocniej. Roztrącił dwoje ostatnich ludzi i puścił się biegiem. Tamten był już dwadzieścia metrów od niego. Reacher zmniejszył tę odległość do piętnastu metrów. Dwunastu. Wtedy ścigany usłyszał za sobą tupot nóg. Obejrzał się przez ramię. Zobaczył depczącego mu po piętach Reachera i ruszył biegiem, wciąż ściskając w ręce worek na śmieci z torebką ofiary. Drugą rękę wsunął do kaptura. Dźgnął palcem urządzenie, które tkwiło w jego prawym uchu. Rzucił ostrym tonem parę zdań, a potem skręcił w lewo w boczną uliczkę.

Reacher biegł dalej, dopóki nie znalazł się metr od wylotu uliczki. Wtedy przystanął. Zaczął nasłuchiwać. Nie złowił żadnego dźwięku, więc ukląkł, podkradł się bliżej rogu i ostrożnie zza niego wyjrzał. Zakładał, że jeżeli ten w kapturze ma broń, będzie mierzył na wysokości głowy. Gdyby miał nóż, szykowałby się do ciosu w brzuch. Ale Reacher nie natrafił na żadne zagrożenie. Nie spotkał się z jakąkolwiek reakcją. Wprostował się i zrobił krok naprzód.

Nigdy nie był w tak czyściutkim zaułku. Mury budynków po prawej i lewej stronie były z jasnej cegły. Schludne i gładkie. Bez śladu graffiti. Żadne okno na parterze nie było wybite. Zewnętrzne schody pożarowe wyglądały na niedawno odmalowane. Po obu stronach stały w szeregu pojemniki na śmieci, rozstawione w równych odstępach. Niektóre zielone. Inne niebieskie. Wszystkie miały pokrywy. Żaden nie wyglądał na przepełniony, na ziemi nie wały się śmieci.

Mężczyzna w kapturze stał dziesięć metrów dalej. Zwrócony plecami do muru po lewej stronie. Stał w zupełnym bezruchu, a worek na śmieci leżał u jego stóp. Reacher ruszył w jego stronę. Zmniejszył dystans do sześciu metrów. I w

tym momencie tamten uniósł brzeg bluzy. Za paskiem tkwił czarny kanciasty pistolet.

– Stać – powiedział. – Ani kroku dalej.

Ale Reacher szedł dalej. Zmniejszył dystans do trzech metrów.

Facet trzymał dłoń tuż nad rękojeścią pistoletu.

– Stop – rzucił. – Ręce na widoku. Nikomu nie musi się stać krzywda. Możemy po prostu pogadać.

Reacher zmniejszył dystans do półtora metra.

– Nikomu więcej – uściślił.

– Co?

– Komuś już się stała krzywda. Kobiecie, którą popchnąłeś pod autobus. To się musiało stać?

Ten w kapturze otworzył usta i zamknął, ale nie padło z nich ani jedno słowo.

– Na ziemię – rozkazał Reacher. – Ręce splecione za głową.

Facet nie zareagował.

– Może nikomu więcej nie musi się stać krzywda – dodał Reacher. – I mówiąc „nikomu”, mam na myśli ciebie. Wszystko zależy od tego, co teraz zrobisz.

Tamten sięgnął po broń. Był szybki. Ale nie dość szybki. Reacher chwycił go za nadgarstek i szarpnął w prawo, tak że przeciwnik obrócił się wokół własnej osi, twarzą do muru.

– Nie! – Jego głos nagle zabrzmiał piskliwie. – Zaraz. Co robisz?

– Chcę zobaczyć, jak ci się to spodoba – odparł Reacher. – Nie ma autobusu, ale są cegły, muszą wystarczyć.

Puścił nadgarstek mężczyzny. Przesunął dłoń wyżej i położył między jego łopatkami. I pchnął. Z całej siły. Brutalnie. Zwierzęco. Znacznie mocniej, niż musiał. Tamten próbował się ratować, ale nie miał szans w zderzeniu z przytłaczającą siłą. Uderzył twarzą w mur i zwałił się na ziemię, jakby nagle

zanikły mu kości w nogach. Z ran ciętych na czole spływała krew. Miał złamany nos. Istniało poważne niebezpieczeństwo, że się udusi. Albo utopi.

Żadna z tych możliwości nie zmartwiłaby Reachera.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).